№ 13.

WARSZAWA DNIA 18/30 MARCA r. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

OD REDAKCJI.

W drugim kwartale roku bieżącego, Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami, raczą przeto Szanowni Prenumeratorowie w Warszawie zamieszkali dla uniknienia zwłoki w odbiorze numerów, wcześniéj składać przynależną opłatę we właściwych księgarniach i kantorach pism perjodycznych. Po ukończeniu powieści obecnie drukującéj się rozpoczniemy tłumaczoną z francuzkiego p. t. *Daniel Roch* przez Erckmanna-Chatrianna, późniéj oryginalnie napisaną przez Jana Zacharjasiewicza i nową powieść pani Pauliny Wilkońskiéj pod tytułem *Macocha*.

Dodatki składające się z rycin paryzkich, arkuszy całych z drzeworytami, z deseniami do haftu i formami jak dotąd tak i nadal dołączane będą do każdego numeru. Cena prenumeraty pozostaje ta sama.

LUDWIKA LE GRAS.

„Miłosierdzie jest to własność Boga"
powiada Pismo święte.



W Paryżu w kaplicy zgromadzenia Panien Miłosierdzia przy kościele św. Łazarza, znajduje się nadgrobek przed wielkim ołtarzem z czarnego marmuru, a na nim złoconemi literami wyryty jest następny napis:

„Tu leży Pani Ludwika Marillac, wdowa po Panu Le Gras sekretarzu Gabinetowym królowéj Maryi de Medicis, fundatorka i pierwsza przełożona panien miłosierdzia, służebnic ubogich i chorych; pogrzebana w kaplicy Nawiedzenia Najświętszéj Panny, w kościele parafialnym Świętego Wawrzyńca dnia 17 Marca 1660 roku, przeniesiona do téj kaplicy d. 24 Listopada 1755. Prawdziwa matka ubogich; wizerunek cnót wszystkich, godna wiecznego odpocznienia.

Oby mogły czcigodne popioły,
Przypominając jéj miłosierdzie,
Wzbudzić jéj ducha.

W owym napisie grobowca, czyż nie znajduje się już wszystko? Cały żywot pracy, miłości i trudu podjętych przez ofiarę i poświęcenie, dla bliźnich chorych i ubogich. Zamierzamy jednak przejść tu w krótkości życie Ludwiki Le Gras, a czując całą niedokładność naszéj pracy, zaczniemy ją od słów Św: Wincentego napisanych do saméj Ludwiki Le

Gras, z powodu przesłanego memorjału do Arcybiskupa Paryzkiego, dla wyrobienia jéj erekcji zgromadzenia sióstr miłosierdzia.

„Zamilczałem wiele rzeczy, pisze ten Święty, które mógłbym na pochwałę twoją powiedziéć, ale zostawmy to Panu naszemu, niech On sam światu ogłosi, my zostańmy w ukryciu.

Ludwika Le Gras z domu de Marillac córka Ludwika de Marillac Pana de Feriere i Małgorzaty le Camus, urodziła się w Paryżu 12 Sierpnia 1591 roku. Ojciec jéj wnuk Gwilchelma de Marillac, który był najwyższym Podskarbim księcia de Burbon, miał dwóch braci rodzonych, z tych jeden imieniem Michał był strażnikiem pieczar królestwa Francuzkiego; drugi zaś także Ludwik Marszałkiem Francyi.— Ten odwagą, męztwem i nieszczęściem swojém stał się sławnym w historyi. Ludwikę w dziecinnym wieku odumarła matka, ojciec dbały o jéj wychowanie, oddał ją do klasztoru na pensją w Poissy, gdzie miał niektóre zakonnice krewne. Tam zaczerpnęła pierwszych zasad pobożności chrześcijańskiéj; potem pan de Marillac powierzył córkę pewnéj cnotliwéj i rozumnéj nauczycielce w Paryżu, aby nabrała wiadomości i umiejętności, stanowi swemu odpowiednich. Nadto przydał jéj nauczyciela do malarstwa i rysunku, gdyż okazywała i zdolności i wielkie upodobanie w tym rodzaju, czego w ciągu życia ani jéj zajęcia i prace uciążliwe, ani słabe zdrowie odjąć nie potrafiły. W rodzinie Ludwiki Le Gras długo przechowywały się obrazy jéj pędzla, zwykle religijnéj treści, bo nigdy innych przedmiotów nie obierała. Ojciec Ludwiki widząc jéj wielkie zdolności umysłowe, sądził za pożyteczne kazać ją uczyć filozofii i języka łacińskiego, co stanowiło w owe czasy wychowanie jakie mało pobierało kobiet. Ludwika z zapałem oddawała się pracy, czytanie ksiąg uczonych, stało się dla niéj najmilszą rozrywką, czyniła też wielkie postępy w nauce, czem uradowany ojciec lubował się w długich a poważnych z nią rozmowach mawiając często z pociechą: „iż mu największą na tym świecie była osłodą, i że Bóg mu ją zesłał na radość i umilenie nieraz gorzkich dni życia.“

Tak tedy wśród nauki przeplatanéj zawsze gorliwemi ćwiczeniami pobożnéj chrześcijanki, spędziła Ludwika dzieciństwo i pierwsze młode lata, a gardząc zawsze światem i jego błachemi rozkoszami, powzięła zamiar zostać zakonnicą i zwierzyła się z tem ojcu Honoremu Bachart de Champigny, kapucynowi powszechnie czczonemu i szanowanemu.

Świętobliwy i mądry kapłan znając wątłe zdrowie Ludwiki, odradzał jéj stan zakonny, którego ostrej reguły spełnić dla niéj ściśle, byłoby niepodobieństwem. Rzekł więc w proroczem jakby natchnieniu. Zdaje mi się, że Pan Bóg przeznaczył cię na coś innego.“

W tym właśnie czasie straciła Ludwika tyle ukochanego i dbałego o nią ojca a z nim jedynego opiekuna. Pani swéj woli i znacznego majątku dziedziczka, zwracała uwagę wielu współubiegających się o jéj rękę, z pomiędzy których wybrała na dozgonnego przyjaciela Ludwika Le Gras, sekretarza królowéj Marji de Medicis, pochodzącego z rodziny słynnéj z dobroczynności dla ubogich i ufundowania kilku szpitali. Ludwika wzięła ślub w Paryżu w 1613 roku mając lat 22.

Poszedłszy za mąż, zamiast uważać nowe swoje obowiązki jako stan dający przywiléj prowadzenia życia swobodnego, bez pracy i myśli na przyszłość, zdwoiła jeszcze działalność swoją w dobrych uczynkach, jakie spełniać każdy jest obowiązany.

Żyjąc wśród ponęt świata zepsutego potrafiła oderwać się od niego oddając się cała szczęściu męża, staraniom o dom, o dobre i pracowite użycie czasu i pieczy nad swą czeladką, mając zawsze na pamięci słowa Piotra św. — aby mężatek ozdobność nie była powierzchowna w utrefieniu włosów, w obłożeniu się złotem i w przybraniu się w szaty; ale aby się przyozdabiały w sercu nieskazitelnością skromnego i spokojnego ducha, co jest być prawdziwie bogatym przed obliczem Boga.“

A kiedy inni w jej położeniu szukali rozrywek i uciech świata, ona szukała chorych i ubogich niosąc im wsparcie w jałmużnie; strapionych, smutnych i wątpiących by ich pokrzepiać słowami wiary i nadziei, według słów św. Jabóba: „Religją czystą i niepokalaną przed Bogiem, jest nawiedzać sieroty i wdowy w utrapieniu i niezmazanym się zachować w pośród ogólnego zepsucia.

Zaraz po jéj zamęściu szczególnéj opieki doświadczali chorzy i ubodzy parafij w któréj mieszkała.— Jednakże miłość bliźniego tak głęboko w sercu jéj była w korzeniona, że nie zadowolona biednemi swéj parafij, nawiedzała także i inne szpitale, przed żadną najprzykrzejszą nie cofając się powinnością.

Zdaje się że już wowym czasie powstała w jéj głowie myśl założenia zgromadzenia Panien miłosierdzia. Jednakże chociaż tak gorąco zajęta sprawami miłosierdzia, nie zaniedbała obowiązków położenia swojego, jako żona, matka i gospodyni.

Jedynemu synowi swemu starała się dać jak najlepsze wychowanie, wdrażając od najmłodszego wieku przekonanie, że nie majątek, ale praca pożyteczna i cnota jest celem i przeznaczeniem każdego człowieka.

Mimo tego ciężkie boleści dotknęły to serce pełne miłosierdzia.

Mąż jéj którego bardzo kochała, umarł w 1625 roku. W czasie czteroletniéj blizko choroby, Ludwika odbyła przy łożu jego boleści, niejako szkołę przykrą i boleśną, w któréj nauczyła się jak to chorym usługiwać należy; ztąd nabrała doświadczenia, zaczerpnęła naukę i przepisy postępowania, później przez nią dla siόstr miłosierdzia ułożone.

W czasie choroby męża swego uczyniła ślub zostania na zawsze wdową, i ślub ten powtarzała każdego roku w dzień Św: Moniki wdowy.

Po śmierci męża Ludwika Le Gras smutna i strapiona nie zasklepiła się w boleści, nie trawiła dni całych na próżném łez wylewaniu, ale jako prawdziwa ewangieliczna niewiasta, pracowała daléj w miłości i miłosierdziu.

Biskup Bellejski dotychczasowy doradca duchowny Ludwiki, nie mogąc być zawsze obecny w Paryżu, polecił ją opiece Św: Wincentego à Paulo, który wówczas zakładał fundamenta kongregacyi swójéj w Kollegium Bonorum Puerorum!“ nazwanym, żyjąc wspólnie z kilku księżmi i odprawiając missją.

Zaiste powierzenie Ludwiki Św: Wincentemu było widocznie Opatrzności sprawą. Przypatrując się z bliska czynom męża apostolskiego, Ludwika jeszcze bardziéj przejęła się miłością bliźniego, i dzieląc pracę swego mistrza w ratowaniu i oświecaniu dusz ubogich wieśniaków, i wszystkich potrzebujących pomocy lub wsparcia, postanowiła wyłącznie poświęcić się usłudze cierpiących, przyjąć nieodwołalne śluby, aby tym sposobem usunąć wszelkie przeszkody. Kiedy powierzyła swój zamiar Św: Wincentemu, mąż boży naznaczył jéj kilka lat zwłoki dla próby, które przebyła niby zakonny nowicjat.

Gdy czas upłynął, Ludwika nie tylko w swem przedsięwzięciu wytrwała, ale jeszcze utwierdziła się w niem gruntowniéj.

Św; Wincenty na missjach które sprawował, ustanowił w kilku miejscach bractwo miłosierdzia, obowiązane chorych na duszy i ciele parafij swojéj ratować. Do bractwa takowych przyjmowano tylko niewiasty i dziewice, których roztropność znaną była powszechnie, z powierzeniem zarządu i pieczy miéjscowym pasterzom. Pierwsze założył Św: Wincenty r. 1617, w krótkim czasie wiele ich po różnych miéjscach zawiązało się, a chociaż myślą pierwszą było zakładać je tylko we wsiach, jednakże przeniosły się do miast, i w roku 1629 do Paryża.

Chcąc dopomódz Ludwice w przeprowadzeniu jéj zamiaru do skutku, wydał polecenie aby zwiedziła bractwa miłosierdzia w Dyecezji w r. 1629, dla naocznego przekonania się, czy gorliwość bractwa tak pożytecznego nie oziębła, a to ze względu iż osoby brackie nie były zakonnicami, ale zwąc się sługami ubogich. koleją tylko spełniały powinności przy szpitalach, mając często na swéj odpowiedzialności rządy gospodarstwa własnego, lub pracę dla utrzymania całéj rodziny.

Ludwika z wielką radością przyjęła polecenia Św: Wincentego, a z najwyższą dopełniła je pokorą.

Po powrocie swym do Paryża, widząc iż biedni i chorzy z miasta niemniéj jak na wsi ratunku potrzebują, założyła bractwo miłosierdzia w parafij Św: Mikołaja gdzie mieszkała, zachęcając panie téj parafji aby z nią się łączyły. Sama przytem była wzorem odwagi i pobożności, ratując bez obawy zarazą dotkniętych. Opatrzność czuwała nad życiem, oddanem zupełnie miłości i poświęceniu dla bliźnich.

Kiedy wroku 1630 znowu odbywała swoją pielgrzymkę i lud wszędzie przyjmował ją z zapałem i uwielbieniem, św. Wincenty posłyszawszy o tem, następną jéj na piśmie przesłał przestrogę:

„Gdy się obaczysz czczoną i poważaną, potrzeba abyś się łączyła w duchu ze wzgardą i złem obejściem jakie cierpiał Syn Boży. Dusza prawdziwie pobożna, tyle się w sobie uniża, gdy jéj cześć wyrządzają, jako gdy,nią wzgardzają i czyni jako pszczółka która miód równie zbiera z rosy upadłéj na piołun, jak i z téj która padła na różę.“

Bractwa miłosierdzia zaprowadzone w Paryżu, jakkolwiek w liczbie znacznie wzrosły, pokazały się jednak niedostatecznemi.

Z początku jak to wszędzie i zawsze bywa wiele pań bogatych i ze znaczeniem, wpisywały się w nie skwapliwie, z gorliwością spełniały obowiązki, same posługując chorym i ubogim. Z czasem jednak owa miłość bliźniego poczęła im ciężyć i trudzić je nieznośnie, składały więc trud cały na służebnice lub najemne zastępczynie, które nie mając ani chęci, ani potrzebnéj umiejętności, chorych najgorzéj obsługiwały.

Gorliwsze z owych wielkich pań, widząc że się źle dzieje, że jedno z najszczytniejszych dzieł miłości bliźniego, poczyna się psuć i upadać, postanowiły zapewnić bractwom pewną liczbę sług wyłącznych, i tę myśl pospieszyły przełożyć św. Wincentemu, któ ry widząc konieczność zmiany obiecał złemu zaradzić. Jakoż zebrawszy kilka cnotliwych dziewic, które wymaganego w owe czasy posagu do klasztoru nie miały, a pragnęły poświęcić się służbie Bożéj, po różnych parafiach paryzkich jé pomieścił.

I było to niby lepiéj, nie było jednak zapełnie dobrze, św. Wincenty i Ludwika Le Gras pomimo swéj niezmordowanéj pracy, nie mogli się znajdować wszędzie, by służyć i nauczać przyjęte do bractwa panienki. Jedne bowiem okazały się mało umiejętne, inne wcale nie przydatne dla usługi chorych cierpiących przez to nędzę i nie wygodę. Wtedy Ludwice przyszła myśl zgromadzenia takich panienek pod dozorem starszéj, któraby je nauczała i zaprawiała do tak pracowitego życia, gdzie trzeba dzień i noc czuwać i być na wszelki trud przygotowaną.

Ludwika przekonana iż zgromadzenie i wykształcenie podobnych panienek, byłoby z niezmiernym dla nich pożytkiem, objawiła swój zamysł św. Wincentemu, który nie czyniąc nic nigdy bez należytego namysłu, radził zatrzymać się ieszcze z uskutecznieniem tego planu.

Dwa lata trwała niepewność; wreszcie św. Wincenty doświadczywszy Ludwiki wytrwałości, postanowił oddać jéj straży zgromadzenie panien na posługę ubogim i chorym. Wybrawszy więc kilka dziewic wiejskich, które się z ochotą ofiarowały i na najprzykrzejsze prace, powierzył je Ludwice, aby w jéj domu w parafii św. Mikołaja sposobem zgromadzenia zamieszkały. Działo się to dnia 29 listopada 1633 r.

Taki więc był początek zgromadzenia pod nazwą: „Sióstr miłosierdzia“ służebnic ubogich i chorych. Jako ziarnko gorczycy, wziąwszy swoją bujność z rosy błogosławieństw Bożych, rozrosło się wkrótce w drzewo wielkie, pod którem sierota, wdowa, opuszczone dziecię, chory i smutny, żołnierz raniony, kaleka i starzec nie mogący pracować, znaleźli schronienie, zdrowie, chléb i pociechę.

Ludwika spełniwszy swe najgorętsze życzenia, zaczęła sposobić panienki nie tylko w umiejętności czynienia dobrze, ale i w pobudkach skłaniających do tego, przypominając im ciągle tę naukę:

„Jezus Chrystus nauczył nas miłosierdzia, abyśmy mogli nadgrodzić niedostatek możności czynienia przysługi Jemu samemu, Dla tego na miejsce swoje zostawił nam miłość bliźniego.“

Upominała więc je często, aby ubogich uważały jako „Panów swoich.“ Dziewice tak nauczane przez Ludwikę choć dla nagłości potrzeb pod dozorem jéj nie długo zostawały, jak tylko poczęły po szpitalach brackich chorym usługiwać i ubogich parafii nawiedzać, zaraz stały się całemu Paryżowi zbudowaniem. Poznano dopiero jak wielkie Ludwika pokazała w ukształceniu ich zdolności, poznano dopiero iż owe panienki, zupełnie odpowiadały potrzebom chorych,

a nawet o wiele przewyższały oczekiwania najżarliwszych.

Skromność, łagodność, pobożność nowych zakonnic, wzbudzała cześć i uwielbienie, młode dziewice garnęły się z ochotą do służby Bożéj pociągnięte świętobliwym przykładem. Ludwika Le Gras przejęta miłością dla swego powołania, w roku 1634 w dzień Zwiastowania Najświętszéj Panny wykonała nieodwołane śluby.

Zaledwie zgromadzenie siόstr miłosierdzia ustanowione zostało, zaraz ze wszystkich stron spieszono z prośbami do Ludwiki o jéj *„córki“* tak zwano uczane przez nią panienki. Najprzód więc zażądano ich do szpitala Bożego, w Paryżu, który rocznie przyjmował wówczas do 25,000 chorych różnych wyznań, płci i wieku.

W roku 1636, przy ciągłem wzrastaniu zgromadzenia, ukazała się potrzeba obszerniejszego pomieszkania, w tym więc celu Ludwika przeprowadziła się z pół mili od Paryża do wioski La Chapelle, dotykającéj wtedy przedmieścia Św: Łazarza: ponieważ jak to juz powiedzieliśmy, czynność jéj była nieznużona.

W nowéj okolicy dla małych dziewcząt założyła w domu swym szkołę, w niedziele zaś i święta zbierała u siebie niewiasty wiejskie dla nauki katechizmu. W La Chapelle przyjmowałł także panie i dziewice, nieraz wielkich godności na rekollekcje, które z dobréj woli odstępowały na chwilę uciech świata, a szły do domu „służebnic ubogich.“—

Litościwe serce Ludwiki Le Gras nie znające spoczynku, w roku 1638 wybrawszy 12 dziatek z domu podrzutków, znajdującym się wówczas w Paryżu, w wielkiem opuszczeniu i nędzy, osadziła je z kilkoma siostrami w domu najętym przy bramie Św: Wiktora, bolejąc wielce, że reszty biednych dziatek, dla braku potrzebnych funduszów zabrać pod swą opiekę nie mogła.

W następnym zaś roku 1639, oddała kilka siόstr dla posługi chorych więźniów na galerach, i umieściła je w wieży, blisko bramy Św: Bernarda, którą Ludwik XIII król francuzki Św: Wincentemu, na ten cel jeszcze w r. 1632 pozwolił.

W tym czasie Lotaryngja pustuszoną była wojną i wszystkiemi nieodłącznemi od niéj nieszczęściami. Św: Wincenty z kapłanami z jednéj strony, siostry miłosierdzia z drugiéj spieszyli z pomocą i ratunkiem. Wtedy to 160 sierot, panienek Lotaryńskich, które utraciły mienie i rodzinę, Św: Wincenty Ludwice pod opiekę do la Chapelle oddał, a ona potém uzupełniwszy ich wykształcenie, uczciwie wszystkie wyposażyć się postarała.

W 1641 r. Ludwika aby zbliżyć się do Paryża, gdzie ją z najznakomitszemi osobami, ciągłe miłosierne wiązały stosunki, przeniosła się z la Chapelle ze zgromadzeniem i blizko Św: Łazarza zamieszkała.

Tam założyła seminarium, dla siόstr miłosierdzia, gdzie odbywały nowicjat i ztamtąd dawała je dla posługi, do wszystkich więzień parafji i szpitali w Paryżu; rozsyłała po wszystkich wsiach i miasteczkach królestwa a nawet i zagranicę.

Ztrudnością przyszłoby nam wymienić cały szereg rozlicznych uczynków miłości bliźniego, w których siόstry miłosierdzia brały czynny udział, wszędzie gdzie chory, nędzny, ubogi wołał ratunku, służyły po domach, szpitalach, więzieniach, galerach, miastach, wsiach, polach bitwy. Służyły w pośród wojny, zarazy i wczasie pokoju, poświęcając życie, zdrowie, wszystkie prace i starania. Czytamy w żywocie Św: Wincentego iż w roku 1659 podczas wojny domowéj, siostry miłosierdzia w Paryżu przez sześć miesięcy żywiły, 14,000 osób wśród głodu, wielkiéj drogości i zaraźliwyzh ztąd chorób.

Liljana

DWIE SIOSTRY ANIOŁÓW

(*wolny przekład z Gejbla*).

Zbudź się o serce! w szlak ziemskich padołów
Zstępują z nieba dwie siostry aniołów.

Przyjaźń odziana lilijowemi szaty,
Miłość w rumieńcem róż strojna ornaty.

Przyjaźń z wejrzeniem jak noc księżycowa,
W srebrne warkocze twarz anielskę chowa.
Miłość kruczemi kędziory połyska,
I grotem żrenic błyskawice ciska.

Przyjaźń — jezioro, wśród puszczy skalistéj;
Niebo w niem widzi swój błękit przeczysty.
Miłość jak morski uragan w blask słońca,
Gdy żywe fale w krocie iskier strąca.

Przyjaźń poświęca się w wdzięczność nie wgląda,
Miłość — zniewolić i posiadać żąda.

Niechaj na wieki będzie pochwalony
Ten kto je przysłał w ziemskie świata strony!
A stokroć błogosławione to serce
W którem z swych kwiatów uścielą kobierce,

Ig. Łuszczewski

DWIE NARZECZONE.

Blask światła jarzący w otwartéj świątyni
Zgromadził ciekawych — tłum gości i wiele
Powozów i karet i służby się mieni...
Więc wchodzę i pytam: mówią mi — wesele!

Stanęłam na boku — i wkrótce ujrzałam
Prześliczną dziewicę, jak wiosna tak młodą.
Ach! długie też za nią spojrzenie posłałam,
Bo strój swój i mirty gasiła urodą.
Tuż przy niéj szedł zwolna dorodny młodzieniec.
Wzrok pełen czułości utopił w postaci
Swéj cudnéj wybranki — w dziewiczy jéj wieniec.
Za niemi szło grono rodziny i braci.

Po modłach wychodzę... Gdy przy drzwiach me oczy,
Uderzył ruch nowy. Tłum ludzi się tłoczy,
Po nad nim katafalk dojrzałam w kaplicy
A w trumnie jak anioł spał obraz dziewicy.

Mirt wieńczył jéj skronie, i biała zasłona
Uśpionych illuzji tuląc jéj ramiona,
Jak senne marzenie spływała powiewnie
I chwiała się lekko — jak szczęście niepewnie..
Żal cichy boleśnie ucisnął mi serce.
Tam — gody szczęśliwe, tu — czarne kobierce,
I młodzian przy trumnie — lecz z takiem cierpieniem
Wpatrzył się w twarz lubą — że łzawem spójrzeniem
Zdawało się, jeszcze wzywał jéj ocknienia.
I matki bolesne słyszałam jęczenia!—

Augustyna Stanczykiewicz.

Pogadanka Tygodniowa.

Wiosnę zaczęliśmy śniegiem i... mrozem. Warszawa nawet wystąpiła z sanną, tłukła o bruk sanicami jak młotem w kowadło, zębami krzesała ognia, oczami sypała iskry, przy każdem szarpnięciu koni delektowała się uczuciem podobnem do rwania zębów, ale koniec końców jeździła sankami, z litością spoglądając na wozy i powozy. Jak to dobrze być nie wymagającym! — Poczciwa Warszawa! Trzeźwa jak Trapista nawet przy pieniądzach: muzykalna jak mało szczodra w oklaskach, miłosierna do zbudowania, świadkiem rumfordzkie zupy, pięciogroszowe objady i szeregi dziadów podkościelnych: strojna umiarkowanie, nabożna przykładnie a i uczona niepospolicie jak dowodzą drukarnie i bibljoteki, lubi jednak delikatesy, śniadanka, sztuki magiczne, wałęsanie po ulicy, przeszkadzanie na widowiskach publicznych, powłóczyste suknie, ploteczki i wiadomostki. Przytem ciekawa aż strach! Za nowinką, za tajemnicą pójdzie wszędzie, choćby nogi przyszło połamać, i rozstać się z ostatnim guzikiem.

Nie dawno jakaś pani bardzo przyzwoicie ubrana, zgubiła sześć serdelków obwiniętych w bibułę z wszelką starannością, przynależną tyle użytecznéj rzeczy. Idący za nią mężczyzna podniósł i chciał zgubę doręczyć, sądząc to być rzeczą zupełnie naturalną. Poszkodowana zmięszała się i zarumieniona wyjąkała nieśmiało:

— Przepraszam pana, ale się pan myli... ktoś inny zapewne zgubił, bo ja nigdy podobnemi nie obciążam się sprawunkami.“

Ze wstydem podobnie fałszywym spotkać się można bardzo często. Każdy wie, czuje i pojmuje że niezamożność uczciwa nikogo nie wstydzi, a jednak jakże mało ludzi ma odwagę przyznać się do niéj otwarcie. Jakże mało ludzi pamięta na owo mądre przysłowie, że wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Najmniejsza sposobność, lada okazyjka, szydło zaraz worek przebija. Na nową zabawę musi być koniecznie nowa suknia, w teatrze krzesło, na koncercie pierwsze miejsce, na wizyty wiejskie powóz, do usługi lokaj ledwo że nie galonowany, a jeżeli nie stać na to, siedzi się w domu, kwasi, nudzi, jakby niepodobna było się pogodzić z suknią już używaną z miejscem nie numerowanem, z poczciwą naszą bryczką choćby kamieniarską i z usługą Kasi, schludnie po wiejsku ubraną?

Dla pozoru jednak żadna ofiara nie trudna. Cóż robić? powiadamy. Dla świata, dla ludzi, trzeba się sadzić do ostatniego, bo jak cię widzą, tak cię piszą. Sadziemy się też i siedziemy po uszy w kłopotach, zapominając że ludzi pozorem nigdy nie otumaniemy i że właśnie sadząc się na niego, sami własną ręką piszemy na siebie wyrok potępienia, podając materjał do ubliżających domysłów, i różnych cierpkich przypuszczeń. I to znamy dobrze, domyślamy się szeptów tajemnych, stajemy się z tego powodu niezmiernie drażliwi i uważający, jednak wiecznie odgrywamy rolę strusia ściganego przez myśliwych, sądzącego że pozbawienie się ich widoku przez schowanie głowy, pogoń oszukaną zostanie. Za granicą inaczéj się dzieje. Tam wstyd fałszywy należy do wyjątków, przepłoszono go i wytrzebiono wybornie, a przyjęto panowanie nieobałamuconego niczem rozsądku. U nas jest prawie wszechwładnym, i jakoś żadnym sposobem rozstać się z nim nie możemy. Jeden z dawnych lokai, dziś już człowiek w wieku,

utrzymujący się z wysłużonéj pensji, znając tę słabość ogółu, a nie mając już sposobności do datków i różnych obrywek, padł na myśl wcale dowcipną, z któréj często niezłe ciągnie zyski. W tym celu błąka się po pierwszorzędnych ulicach Warszawy, i upatrzywszy gdzie jakiego młodzieńca okaźnego z miny i z czupryny, stara się koniecznie ściągnąć na siebie jego uwagę.

Gdy to mu się uda, zbliża się do niego ze służalczą pokorą i podsuwając rękę, jakby do ujęcia kolana mówi z radością a często z rozrzewnieniem:

— Ach! jakże się cieszę że jaśnie pana widzę, tak już dawno nie miałem tego szczęścia.

Młodzieniec zwykle mięsza się, przez człowieka bowiem przyzwoicie ubranego, poważnego, być nazwanym na ulicy jaśnie panem i mieć kolano przez niego ściśnione, honor to nielada, zwłaszcza gdy się nie jest do tego przyzwyczajonym. Dawny sługa ucieszony wrażeniem, ponawia zaraz atak.

— Jaśnie pana hrabiego — mówi z nowym ukłonem — miałem szczęście ostatni raz widzieć u hrabstwa X. gdzie tak bawiono się wybornie. Jaśnie pan hrabia zapewne musiał być za granicą i pewno zapomniał o starym Jakóbie, ale ja choć stary nie zapomnę nigdy dobroci dla siebie jaśnie pana hrabiego jego wspaniałości, jego hojności.

— Tak... tak... nie byłem dawno w Warszawie— odpowiada panicz jąkając się — wyjeżdżałem...

Sługa widząc że już ryba w matni i nie wyplącze się z sieci, przystępuje śmiało do rzeczy i wręcz powiada:

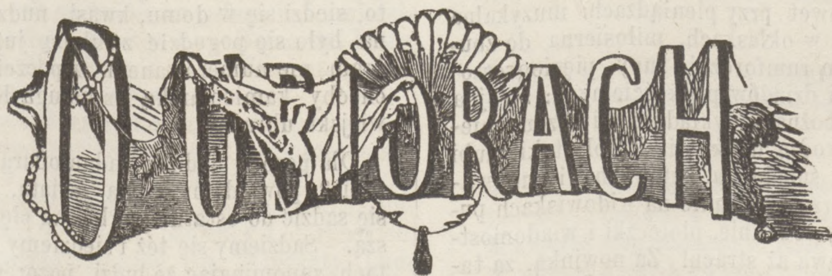
— Jaśnie panie hrabio, wspomnij na starego dworaka, co ci usługiwał u hrabstwa X — u hrabstwa Z — u księcia Y i obdarz go szczodrością swego serca.

Choć panicz czuje bijące na siebie poty i piszczenie chudéj często sakiewki, ale zabrnąwszy tak daleko, cofać się już nie może, i rad nierad sięga z westchnieniem do kieszeni, aby datkiem wynagrodzić pamięć starego sługi: że zaś złotówki dać nie podobna, bo wstyd na to nie pozwala, kończy się więc sprawa najmniéj na talarku, a czasami na trzech lub pięciu. Podobnego zdarzenia sam byłem świadkiem. Nagabnięty był przybyszem ze wsi jak się o tem późniéj dowiedziałem. Po konkluzji datkowéj, zarumieniony jak piwonia, zmiatał biedak roztrącając przechodniów na prawo i na lewo: dworus zaś chowając datek, oglądał się za odwróconym, z uśmiechem niezmiernie syderczym jakby mówił w myśli:

„— To mi się udało! tom złapał głupca!

Wierzajcie mi, iż swiecąc tylko pozorem, w cudze przystrojeni piórka te same usłyszelibyśmy słowa przez świat wymawiane, gdybyśmy go tylko umieli podpatrywać i podsłuchiwać. Czasem w prawdzie pozorem uda się otumanić, ale na to potrzeba niezmiernéj zręczności i prawdziwego talentu jakim na szczęście mało kto bywa obdarzony. Zręcznym oszustem nie każdy być potrafi, ale każdy być może samym sobą jak go Bóg stworzył, i jak go i gdzie okoliczności postawiły.

Z pozorem to samo się dzieje; hołdując mu w jednym wypadku, wszędzie służyć będziem stale, ztąd zmienność, strata najprzód mała. późniéj większa a w końcu ruina. Jest to prawda, co chwila potwierdzana czynami.



Korespondencja z Paryża.

Magazyny tutejsze ogłaszają jedne po drugich doroczne wiosenne wystawy, podczas których wyprzedają towary po znacznie niższéj cenie. Byliśmy na kilku takich wystawach, nic jednak nie spostrzegliśmy zupełnie nowego, o czembyśmy nie donosili już w naszych sprawozdaniach.

Znać że wszystkie nowości zachowane na *wielką wystawę*, która z pewnością ma być otwarta 1 Kwietnia.

Najważniejszym dziś przedmiotem do opisania są okrywki wiosenne. Z tych największą mają wziętość paletoty Bretońskie z sukienka, tybetu lub innéj tkaniny wełnianéj, w kolorach brązowym, ciemno-szafirowym, czarnym, białym, lub pąsowym. Formą mało się różnią od siebie, lubo rozmaite noszą nazwiska, brane od miejscowości Bretońskich np: Ploërmel, Plongastel, Douarnenez, Benodet, i inne.

Paryżanie śmieją się z téj *Bretomanji*, mimo to niema prawie kobiety, któraby nie miała paletocika

lub kaftanika Bretońskiego. Do upowszechnienia mody przyczynia się i to, że taki paletocik nie zbyt wiele kosztuje, a przytem łatwy do zrobienia, w krótce prześlemy wzory tych modnych okrywek i desenie do wyszywania kolorowym jedwabiem pasów ukośnych, któremi są ozdobione; dziś poprzestajemy na ich szczegółowym opisie.

Paletot Bretoński jest średniéj długości, wolno puszczony, rękawy u niego zwyczajne, kołnierzyk mały stojący. Główną ozdobę stanowią paski z sukienka na dwa lub trzy cale, wystrzygane w ząbki w maszynie. Paski te bywają odmiennego koloru niż paletocik najczęściéj czarne: wyszywa się na nich szlaczek ściegiem łańcuszkowym, lub jakimkolwiek bądź innym; można wyszywać co kto chce, byle tylko użyć różnokolorowego jedwabiu: —Żółtego, czarnego, zielonego, fijołkowego i szafirowego. Takim paskiem obszywa się w koło paletot, daje on się w podłuż ramienia, i na mankiecie odwróconym w kant od ręki. Kieszenie po bokach kwadratowe, lub zakończone w ząb od dołu naszywają się tymże paskiem. Oprócz tych kieszeni jest jeszcze trzecia, podłużna dana w górze po lewéj stronie, tego koloru jak paski. wycięta w ząbki do koła: na téj kieszonce wyszywa się jedwabiem postać wieśniaka lub wieśniaczki Bretońskiéj. Osoba ta jednak nie jest koniecznie potrzebna i zastąpić ją można innym deseniem. Po obu stronach przodów, jak też u rękawów i kieszeni, dają się guziki srebrne nadzwyczaj zbliżone do siebie, jakby nawleczone razem na nitkę. Guziki te nie służą do zapinania lecz tylko do ozdoby. Przypominają one bardzo kółka u pasów krakowskich, tylko że znacznie są mniejsze.

Oprócz paltocików, noszą także krótkie kaftaniki Bretońskie sięgające ledwie do pasa, puszczone wolno, przybrane paskami i guzikami. Kaftaniki te robią zwykle w żywych kolorach np: mocno niebieskie lub pąsowe, objęte białym lub czarnym paskiem.

Uważaliśmy także koszulki Bretońskie tybetowe. Różnią się tem od innych, że mają karczek okrągły cały zaszyty kilkoma rzędami szlaczków różnokolorowych. Szlaczki te wyglądają jak paciorki spuszczone kilka razy od szyi. Damy również wzór podobnéj koszulki.

Noszą też bardzo spódniczki Bretońskie pod suknie, robią je z tybetu i obszywają nad obrębem, paskiem wyszywanym różnokolorowemi jedwabiami. Najlepiéj kiedy spódniczka jest tego koloru, jak paletocik lub kaftanik.

Z mód Bretońskich wspomnimy tu jeszcze przepaski wyszywane na tybecie lub suknie spinające się na szerokie kwadratowe klamry z metalu.

Między innemi okrywkami zwróciły także uwagę naszą płaszczyki czarne kaszmirowe w formie peplum, krótsze z przodu i z tyłu, po bokach zaś przedłużone w ząb. Podbite są czarnym muszlinem, obszyte w koło gipiurowym czarnym wolantem, szerokim przeszło na ćwierć łokcia. W miejscu gdzie przyszyty wolant idzie pasmanterja przerabiana paciorkami z lawy. Dopełnia ozdoby, okrągły fałdowany kapturek, zakończony kwastami u dołu.

Szale i chustki tarlatanowe a nawet Tureckie, odwracają przez środek do połowy, i kładą w sposób, żeby rogi spadały po bokach. Chustka tak włożona tworzy peplum.

O kapeluszach nie wiele jeszcze mamy do powiedzenia, moda ich dotąd nie ustalona. Pokazują się od kilku dni krepowe fanszoniki popielate, przybrane pletnią z zielonego aksamitu. W miejscu szarf do wiązania, dwa warkocze aksamitne, zakończone sznelowemi kwastami, zakładają się pod brodę jak krawatka, i przepinają broszką. U niektórych spada na tył głowy przezroczysty karczek krepowy, w kształcie chusteczki.

Czepeczki do ubrania mają wszystkie prawie formy katalanek, lub też kwadracików, obróconych zębem nad czoło. Widzieliśmy taki kwadracik złożony z aksamitki niebieskiéj i przeplatanych przez nią wstawek kluny. Nad czołem szedł wieniec z pukielków aksamitnych w formie liści. Długie końce z aksamitki niebieskiéj, odwracały się w tył, okręcały w koło warkocza i spadały po niżéj stanu.

Inny kwadracik czarny koronkowy, miał nad czołem rozetę ze wstążki różowéj atłasowéj, pomięszanéj z koronką. Długie wstążki różowe, przewiązane w tyle głowy nad warkoczem, dopełniały ubranie.

Zamiast wstążek idą niekiedy barbki z czarnéj koronki.

Uważaliśmy nowy rodzaj kołnierzyków ładnych i łatwych do zrobienia. Bierze się łokieć i pół wstawki kluny szerokiéj na cal, obszywa się w koło wązką koroneczką. Wstawka ta podszyta kolorową wstążką lub aksamitką przyszywa się do chusteczki i tworzy, stojący kołnierzyk, końce zostawione klarowno bez podwleczenia, przepinają się broszką i tworzą krawatkę.

S. z Ż. D.

OPIS RYCINY KOLOROWANEJ.

Ubranie pierwsze. Spódniczka tybetowa ciemno-pąsowa albo skabjozowa z wolantem fałdowanym w jedną stronę i przyszytym z obudwóch stron do spódniczki.

Nad wolantem naszyty rzucik czarnemi perełkami. Na to suknia popielata jedwabna w czarne paski. Peplum z tego materjału jak spódniczka bez rękawów, cały naszyty w deseń paciorkami i podszyty fularem.

Kapelusz (Mantille) czarny koronkowy naszyty w deseń lawą. (Forma paletocika peplum dodaną będzie do przyszłego numeru Tygodnika Mód).

Ubranie drugie. Suknia ciemno popielata popelinowa naszyta na każdym brycie w deseń wstążką koloru fijołkowego. Stanik z bawetem. Naszycie w górze na spódnicy, tworzy jakby baskinę. Włosy przepasane takąż wstążką, z długo spadającemi końcami.

Opis drzeworytu.

Zalecamy ten gorsecik szczególniéj młodym i szczupłym panienkom. Wzór przedstawia suknią z popielatego fularu w niebieskie pasy. Stanik krótki w kształcie gorsecika, złożony z części tylnéj, bo-

ków i przodów zapiętych na guziki, objęty jest u góry niebieską materją i frendzelką, któréj brzeg naszyty perełkami. Płaskie kokardy zdobią wązkie naramniki, które otaczają pachę. Bluzka muślinowa układana w szerokie fałdy, garnirowana około szyi i mankietów koroneczką.

postanowiliśmy go wydać w *sześciu* zeszytach po pięć arkuszy druku; każdy zeszyt kosztować będzie *25 kopiejek (50 groszy)* i nabywany być może osobno. Całe dzieło kosztować będzie zatém rs. 1 kop. 50 (złp. 10), a prenumeratorowie z prowincji na koszta przesyłki i opakowania dopłacają kop. 20. Prenumerować można w Redakcji



Stanik gorsecikowy (tył).



Stanik gorsecikowy (przód).

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana. *(Dodatek).*

Dodatek do Nr. 13 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 18 (30) Marca 1867 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)



Mama odpowiedziała: że pozostali się państwo Gromontowscy i że panie Siewońskie zapewne już nadjechały.

— Panie Siewońskie! — powtórzył, a gorączkowy rumieniec wystąpił mu na lica.

Mama więc zaraz o czemś innem mówić poczęła.

Pani Eleonory nie puszczano wcale do brata, bo z góry oświadczył: że widzieć jéj nie chce. A klęczała u drzwi do jego pokoju, płakała i ręce załamywała. Wreszcie ojciec nasz, jakiéj nowéj lękając się sceny, by gwałtowność jéj nie obiła się o uszy chorego i stanu jego nie pogorszyła, oparł się na doktorach i dokazał tego, że sobie do Zjawieńca odjechała. Odtąd już więcéj nie zjawiła się tutaj.

Pan Bojarowski bawił w Zajezierzu przez czas cały i dziś dopiero do domu pojechał. Zapowiedział jednak że jutro znowu powróci.

Smutno nam bardzo Janinko, i tęschno za tobą, że i dostatecznie tego wypowiedzieć niepodobna. A jeszcze też i znękała nas choroba pana Jerzego. O, jakiż on zmieniony!.. i fizycznie i moralnie.

Doktorzy zapewniają, że przy młodości swojéj i sile, to niezadługo zdrowie całkiem odzyska. Wyślą go do wód podobno do Marienbad'u, bo mowa już o tem była.

Wkrótce napiszę znowu. Adzia dopisać się pragnie.

Wszyscy łączą ci najszczersze pozdrowienia.

Do zobaczenia, Janinko najdroższa!

Frania."

Janina z listem w ręku, blada, z oczami w papier wlepionemi, długą posiedziała chwilę. Przeczytała go następnie raz drugi, wolniéj, spokojniéj niby, a potem chusteczką zacisnęła oczy, wsparła głowę o poręcz, a drgająca szarfa muślinowéj sukienki, przyspieszone uderzenia serca zdradzała.

Gdy następnie kazała panią Siewońską i Julją do siebie poprosić, uważały i matka i córka, że miała oczy lekko zrumienione. Spokojna ale ze smutnym wyrazem, podała im do przeczytania list Frani.

W dni kilka potem Frania pisała znowu:

„Droga, Kochana, Jedyna!

Wszędzie nam i zawsze brakujesz. Obiedwie z Adzią myślą ciągle jesteśmy przy Tobie. Och, czemuż to do tego Jodłowca tak daleko!

Pan Jerzy przychodzi do siebie, ale znać po nim chorobę bardzo. Jest i dziwnie drażliwym i posępnym, wcale innym jak był dawniéj. Och, innym wcale!

Wczoraj dużo przy nim mówiłyśmy o Tobie. Major z uniesieniem Cię chwalił. Pan Jerzy milczał bo w ogóle tak mało odzywa się teraz, a potem wyrzekł: „Czemuż nie jest panną Siewońską!"

Mnie to jego powiedzenie ucieszyło niezmiernie, niezmiernie! Cóż tam Jodłowiec i całe dziedzictwo twoje, w porównaniu z tobą, jedyna moja! — Pan Jerzy Ciebie tylko ceni!— Niechajby to posłyszeli ci wszyscy, którzy gonią za posagami a także i ci, którzy wierzą, że tak czynią wszyscy, którzy w wyższe a prawdziwe nie wierzą uczucie. Mnie uszczęśliwiły wyrazy pana Jerzego, mówię ci, że mnie uszczęśliwiły.

Pana Jerzego zmartwiło, że jesteś dziedziczką Jodłowca. Mówił nam to i major. To dziedzictwo go straszy i wolałby widzieć w tobie tylko pannę Siewońską.

To powinno pochlebiać ci wielce Janinko, powinno cię cieszyć!—„

Janinę jednak nie pocieszał wykrzyknik pana Jerzego: „czemuż nie jest panną Siewońską!" — a raczéj zabolał ją dotkliwie, lubo, że jéj i pochlebiał... i różne zaciężyły jéj myśli i domysły. Opuściła rękę z listem podumała, a potem znowu czytała daléj:

„Za dni kilka wujcio nas pożegna. Wraca do siebie na dni parę, by rozporządzenia potrzebne poczynić, a ztamtąd wprost już jedzie do Marienbad'u na Kraków i towarzyszyć mu będzie pan Tomasz Naręba, uczeń medycyny wszechnicy krakowskiéj. Pan Jerzy łoży na jego wykształcenie od lat dzieciństwa. Młody Naręba ma dla niego wdzięczność nieokreśloną i kocha go miłością synowską niemal.— Będzie więc miał szczerego i troskliwego opiekuna przy sobie.

Pani Eleonora pragnęła widzieć się z bratem, ale pan Jerzy odmówił.

Major twierdzi, że to chyba kiedyś tam nastąpi dopiero.

Adzia pisze do ciebie list długi o wszystkich i wszystkiem i nie przepomniała nawet o pieskach, gołąbkach i kotkach.

Na lipiec i sierpień przyjeżdza do nas panna Dubois i profesor Bylewicz.

Och, Janinko. kiedyż zobaczymy się znowu?!— Mama obiecuje, że w jesieni pojedziemy do ciebie. Major, bo może wcześniéj do Jodłowca zawita, stęschnion za tobą widocznie.

Smutno i pusto bez ciebie a smutniéj jeszcze i bardziéj będzie pusto, gdy nas i pan Jerzy opuści.

Całuję ciebie z całéj duszy Janinko, bo i duszą i sercem jestem przy tobie.

Frania.„

Obok był znowu krótki ale bardzo poczciwy liścik Radzyńskiéj i list długi Adzi, jak to wspominała Frania.

Wesoła ramotka dziewczęcia nie potrafiła wszelako wywołać uśmiechu na lica Janiny. Wszędzie widziała ona wyrazy. czarne wybitne, wyraziste: czemuż nie jest panną Siewońską!„— Ciężyły jéj kamieniem na sercu. a kirem zaległy w myśli, wszystko czarniawą powlekając barwą.

VI.

Życie czynne i praca dają zaspokojenie, a więc są drogą do szczęścia.

Co rodzi miłość jest dziełem ducha.

J. I. Kraszewski.

Zaraz w pierwszą niedzielę po powrocie Pani Siewońskiéj, był pan Władysław Tumiński w kościele jodłowieckim, a po mszy św: zeszły się z nim panie w plebanii.

Janina uważała radośny wyraz jego siwych oczów i uśmiech szczęśliwy; a na licu Julii świeżo rozkwitły rumieniec. Umyślnie też dłużéj, jak zwykle, zabawiła w plebanii. Odtąd młody sąsiad każdéj ukazywał się niedzieli. Julja spotkała go dwa razy u pani Źreńskiéj, o czém zaraz wspomniała. Dotąd jednak zakwitem lica lub okiém jaśniejszem, i tém czemś, co tylko drogie, czujące odgadnąć potrafi serce, zdradzała w obec Janiny swoją tajemnicę dziewiczą. Niekiedy porozumiały się spojrzeniem, a w uścisku siostrzanym niby poufne było zwierzenie.

Julja nader spokojnego była usposobienia. Cicha i dziwnie skromna, więc w sercu tylko własném, zaledwo przed samą sobą, wyznała tajemniczo rozbudzone uczucia, lubo że Janinę całą kochała duszą. A ta ostatnia rozumiała ją całkiem. Może w obec serca zranionego ukochanéj siostry — przyjaciółki, lękała się Julja okazać szczęśliwiące ją wrażenie, bo i tego domyślała się Janina.

Tymczasem podążano szybko z wykonaniem wszelkich zbawiennych zamysłów młodéj dziedziczki. Pan Gromontowski często odwiedzał Jodłowiec, dozierając wznoszących się budowli i szkoły, ochronki i szpitala i zacnie przewodniczył we wszystkiem.

Obok szkoły wiejskiéj postanowiła Janina, by żona nauczyciela albo siostra, pouczała dziewczęta wiejskie krawieczczyzny potrzebnéj i szycia białego. Zwierzchni zarząd nad tém powierzyła pani Źreńskiej, wyznaczając jéj za trud ten stosowne wynagrodzenie.

Ruch ogólny zapanował w majętnościach Jodłowca i Burzan, ruch, zapowiadający błogie na przyszłość owoce: byt materyalny i podniesioną zbawiennie stronę moralną ludności.

— Przyszły twój małżonek — wymówił z uśmiechem pan Gromontowski do siostrzanki — znajdzie już wszystko chociaż nie gotowém, ale przynajmniéj dostatecznie przygotowaném. Będzie miał zatem dzięki tobie, dalsze ułatwioném działanie. A pewnie też jeszcze i większe rozwinie pomysły...

Janina nagle pobladła.

— O, wujciu!— odrzekła nieco przytłumionym głosem — nie oglądaj się wujcio na tc, za mąż pewno nie pójdę wcale. Znalazłam szczęście prawdziwe a jedynie możebne w tych moich zamysłach i przedsięwzięciach.... w téj działalności.... to i cóż mi więcéj potrzeba? Mam spokój duszy, zadowolnienie serca, zajęcie ducha, umysłu.... zatrudnienie, czynności.... a to jest szczęście! Takie, da Bóg dobry, moim będzie udziałem.... i znać przeznaczył mi takie, i nie inne — dodała ciszéj. Życie czynne i praca dają zaspokojenie, a więc są drogą do szczęścia.

Pan Gromontowski z lekka pokiwał głową, ale nic już więcéj nie mówił.

Janina przy każdéj nadarzonéj sposobności powtarzać zwykła powyższe wyrazy: że za mąż nie pójdzie z wielkiem zawsze niepokojem i żalem wujenci, pani Siewońskiéj i Julii. O panu Jerzym nie wspominały już wcale, bo i cóż miały powiedzieć?

W połowie Czerwca doniosły listy z Zajezierza, że pan Jerzy już wyjechał do Marienbadu.

„Ojciec z majorem jeździli do Zurawina, by go pożegnać"—pisała Frania—i mówili nam, że bardzo a bardzo stracił na humorze, że stetryczał po prostu. Zachęcali go, by do Jodłowca wstąpił. Major chciał mu towarzyszyć. Pobladł nagle opowiadał ojciec mamie i odrzekł:

— Zdziwiłaby zapewne pannę Swiętoborską moja wizyta: miałaby mnie za konkurenta o dziedzictwo Jodłowca, i zyskałbym pewnie jéj wzgardę... Czemuż nie była naprawdę panną Siewońską!

Major tak jest zawzięty na panią Bojarowską, że gdy przed parą dniami niespodzianie tu zajechała pobiegł zaraz w ogród, kazał sobie przynieść kapelusz, i pieszo do Grządki powrócił, niechcąc widzieć jéj wcale.

Pani Eleonora zaraz o panu Jerzym mówić zaczęła: o jego żalu do niéj i aż znowu spazmów dostała.

— „Niech sobie płacze, spazmuje i trapi się"— poszepnęła mi Adzia zawzięcie — bo pocóż takiego nawarzyła piwa, które teraz wszyscy pić musimy"

Mnie jéj jednak trochę żal było, pomimo zagniewania całego, bo szczerze płakała...

„Czemuż naprawdę nie była panną Siewońską!" powtórzyła Janina z cicha, i łzę z oka otarła.

Dnia jednego z rana, wyszła młoda pani Jodłowca do ogrodu! Chciała z sobą pociągnąć Julją, lecz jéj mówiono, że poszła na mszę ś.

Janina szła zwolna, miała książkę w ręku, czytała

idąc, a potém pod drzewem przysiadła. Niezadługo nadeszła Julja, Janina podała jéj rękę. Uderzył ją niezwykły wyraz twarzy dziewczęcia, spojrzała więc na nią po raz drugi badawczo. Julja zróżowiała i łza w jéj zakręciła się oku.

— Cóż to Juleczko?—i Janina przyciągnęła ją do siebie.

— Ach. Janinko!—wymówiła młoda dziewczyna, i złożone dłonie przycisnęła do piersi—o, droga moja, jedyna! — pobladła z lekka — oświadczył mi się pan Władysław Tumiński — cichym dodała poszeptem.

— To dobrze! To szczęśliwie! — zawołała Janina z nieudaną radością, i aż w dłonie klasnęła—Kiedyż i jak?

— Był na mszy... Wracałam z panią Żreńską. Przyłączył się do nas z proboszczem... Potém proboszcz zagadał się z panią Żreńską. Myśmy ich wyprzedzili jakoś,.. i wtedy się oświadczył. Jak? tego powtórzyć nie potrafię — uśmiechnęło się dziewczę.

— I cóż daléj, Julko? Ty go pokochałaś!

— Janinko!

— Wiem, rozumiem!... Ale jakżeś mu odpowiedziała?

— Sama nie wiem... On mamę jutro o moją poprosi rękę. Najpierwéj jednak do ciebie przybiegłam.

— Droga moja, kochana!— Janina przycisnęła ją do siebie. Życzę ci tego szczęścia z całego serca. I jestem przekonana, że pan Władysław po temu wszelką daje rękojmię.

— Mam wiarę, że on jest dobry i szlachetny.

— I ja tak samo. Wszakżeż proboszcz zna go od dzieciństwa niemal... On wie przecie, że ty nie masz posagu, a zatém idzie jedynie li za pociągiem serca. Będziesz szczęśliwą, Juleczko!.. O, jakżeż się cieszę!

— Jutro Pan Władysław przybędzie. A proboszcz oświadczy go mamie.

— Mama przeciwną nie będzie. Niepodobna!

— Myślę, że nie. Mama nie dowierzała zapewne, by mnie, bezposażną wybrał, zwłaszcza, że sam tylko szczupłe ma mienie, i dla tego nigdy nic nie mówiła o tém, i strzegła nawet, bym się złudzeniami nie karmiła próżnemi... Teraz, Janinko, pójdę do niéj... i opowiem jéj wszystko.

— Tak, tak, idź Juleczko! Bóg z tobą, kochana!

Uścisnęły się. Julja do matki pobiegła. Janina posiedziała przez chwilę, podumała, potém do pałacu wróciła, i kazała księdza proboszcza prosić, by ją w ciągu dnia odwiedzić zechciał. Napisała także do państwa Gromontowskich, z prośbą, by przyjechali nazajutrz i o deklaracyi pana Władysława Tumińskiego doniosła.

Nie wyszło pół godziny, a proboszcz nadszedł. Janina była sama.

— Przepraszam! wymówiła witając go — bo może przeszkodzono księdzu proboszczowi. Alem ja wyraźnie poleciła:„ Proszę, by mnie ksiądz proboszcz w ciągu dnia odwiedził.,,

— Tak mi też powtórzono — odrzekł proboszcz lecz wolałem pospieszyć zaraz.

— Czy pan Władysław już odjechał?

— O, już. Pilno mu było wracać do gospodarki, Domyślam się, że panna Julja powtórzyła pani to, co i mnie pan Władysław powierzył.

— Tak, księże proboszczu, i niewymownie cieszę się z tego. Julka jest kochaném, poczciwém, najpoczciwszém dziewczęciém: skromna, pełna prostoty, pracowita i praktycznie wychowana. O panu Władysławie mówiłeś mi ksiądz proboszcz, że jest zacny, szlachetny, rozumny; że pracować umie i pokochał pracę i że zrozumiał, pojął, i umiłował obowiązki swoje.

— I sumiennie to, com powiedział poręczyć mogę.

— A zatém, będzie to para dobrana.

— Niechaj im Bóg dobry da szczęście!

— Ach, księże proboszczu, mówmy szczerze i otwarcie. Czy też pan Władysław obliczył się z sobą? Julka żadnego a żadnego nie ma posagu. Matka zaledwo jéj szczupłą dać może wyprawkę.

Proboszcz poczerwieniał lekko.

— Pani — odrzekł — toćże Władysław zna to dobrze. Mówiliśmy o wszystkiem. On pracować umie, jak to pani wyrzekłaś sama, i pokochał pracę. A mając żonę, z większem jeszcze zamiłowaniem swoim odda się obowiązkom i Panna Julja nie jest wymagającą i zapewne do wszystkiego zastosować się potrafi.

— To pewno, ach, to pewno! I ona w swoim niewieściem zawodzie skrzętną będzie, gospodarną i zabieżną. Ale, proboszczu, czy też ten wybór pana Władysława zgadza się z życzeniem rodziców jego?

— Poczciwi to ludzie! Ojciec wyrzekł: że Władzio dla siebie żonę bierze, a nie dla nich, przeto według serca własnego wybór uczynić powinien. A matka dodała: „Miałam pięć sukienek skromniutkich i salopkę, gdym szła za mąż; trochę bielizny, dwa obrusy z serwetkami na sześć osób; trzy łyżki srebrne od parady a sześć cynowych; tuzin talerzy, salaterkę, misek parę i nowych garnków i garnuszków kilkanaście. Mąż dzierżawił probostwo w Zadybiu, za dwa tysiące złotych. Brodzką bryką w dom swój mnie powiózł. W dwóch ciupkach zastałam parę stolików, kilka krzeseł nowych i starą kanapkę, powleczoną sycem. W oborze cztery krówki i jałówkę; trochę trzody, kilka gęsi i kur kilkanaście. Otóż i cały dobytek! Lecz byliśmy szczęśliwi! Pracowaliśmy z ochotą, i Bóg nam pobłogosławił. To niechżeż i Władek dorabia się tak samo. Lepsza to poczciwa praca i oszczędność, aniżeli posagi, które, przy wymaganiach i nierządzie, rychło pójdą sobie do licha. Powtórzyłem pani umyślnie dosłownie wyrazy tych zacnych ludzi.

— Wdzięcznam księdzu proboszczowi za nie — odrzekła Janina z rzewnem w głosie odbrzmieniem zajęły mnie niezmiernie... pocieszyły. Powtórz ksiądz proboszcz jednak jutro jeszcze panu Władysławowi, że zupełnie ubogą bierze panienkę.

— Uczynię to pani.

Po chwili nadeszła pani Siewońska z Julją. Obiedwie miały oczy zapłakane; na czole pierwszéj zaległa myśl głębsza, ale przytem i wyraz szczęścia wewnętrznego w jéj uwidomił się rysach. Na twarzy dziewczęcia, jakoby na kwiecie po wonnym deszczu majowym, jaśniał promyk słoneczny i barwniéj młode zróżowił lice.

Janina kazała drugie podać śniadanie i mówiono tylko o rzeczach potocznych.

Państwo Gromontowscy, względni zawsze i dogadzający słusznym życzeniom Janiny, stawili się nazajutrz, z prawdziwą dla niéj radością. Przed objadem radziła dość długo z wujaszkiem sam — na sam

Po objedzie zajechał skromny koczyk przed pałac i wysiedli z niego proboszcz i pan Władysław Tumiński. Ładne i dobrze utrzymywane kasztanki wcale pokaźno w nowéj wyglądały uprzęży.

Julja, jakkolwiek przygotowana, pobladła, jednak na widok przybyłych. Panią Siewońską niby drżenie przebiegło.

Pan Gromontowski gości wprowadził i od razu wszystko na właściwy ton towarzyski nastroił.

Po chwili podniósł się proboszcz, i w dobrze ułożonych wyrazach oświadczył pani Siewońskiéj, pana Władysława o rękę panny Julii.

Nastąpiło wszystko, jak to zwykle przy takich dzieje się aktach. Poczciwa matka miała łzy w oczach; panna była różowa, kawaler pobladły i pomięszany nieco... Aż wreszcie, podług dawnego zwyczaju, skłonił się do stóp matki, która życzliwie dłoń na jego położyła głowie — a potem ucałował obiedwie rączki panienki. Odbyło się wszystko, powtarzamy, ze zwykłą ceremonią i panna przyjęła ładny pierścionek z emaljowaną opatrznością, i oddała zań ametystami nasadzoną obrączkę.

Obecni, na ich czele Janina, serdeczne złożyli życzenia, a pan Gromontowski w charakterze gospodarza domu, perlącym się węgrzynem młodéj pary wzniósł zdrowie.

Gdy następnie po tych wszystkich formach wzruszających swoboda i wesołość w małym zawitały kółku, poszepnęła Janina wujowi słów kilka i wydaliła się z salonu.

Pan Władysław przysiadł się do swojéj powabnéj narzeczonéj i wpółgłośna zawiązała się gawędka. Pani Gromontowska coś tam uszczęśliwionéj matce prawiła. Ksiądz proboszcz zaczął z panem Gromontowskim rozmowę gdy tenże powstał, i zwrócony do pani Siewońskiéj i Julii, wyrzekł:

— Moja pupilka, panna Janina, poleciła mi, bym paniom oświadczył: że przez wdzięczność córki dla szanownéj pani, która z macierzyńską troskliwością zawsze byłaś dla niéj i jesteś; i przez miłość siostrzaną dla panny Julii, składa dla niéj sto tysięcy złp. w posagu i wyprawę całkowitą, do któréj dołączy dwa garnitury mebli, fortepian i... już tam reszty nie pomnę — uśmiechnął się dobrodusznie — a prosi przezemnie, ażebyście panie ten dar serca z taką przyjęły prostotą, z jaką ona go czyni. I zastrzega sobie, by żadnych nie było podzięków i rozczulań. Bo jéj stosunek do was — wyrzekła — jest czysto, jakoby córki i siostry. I chciejcie ją, panie, jako taką uważać. Pani Siewońska rozpłakała się, na dobre, Julja powstała, rumiana i drżąca ze wzruszenia. Podniósł się pan Władysław zdumiony i aż pokraśniał, a pani Gromontowska, pełna radości, uścisnęła matkę i córkę.

— Uspokójcie się państwo, proszę! — wymówił znowu pan Gromontowski. Bo Janinka do nas wtedy wróci dopiero. Mówmy teraz o czemś innem. Ot, o Stanach Zjednoczonych! i podejmując Gazetę Polską ze stołu, coś tam opowiadać zaczął.

Tymczasem wysunęła się pani Gromontowska. Przebiegła pokoje lecz nigdzie Janiny znaleść nie mogła. Wyszła na werandę, ztamtąd na taras, obejrzała się w koło, wreszcie na lewo wśród ciemnych klombów biała mignęła jéj sukienka i udała się za nią.

Po dość długiéj chwili powróciła do salonu z Janiną.

Pani Siewońska i Julja powstały mimowolnie. Niemy, zobopólny nastąpił uścisk.

— Ślicznie jest teraz na dworze — ozwała się pani Gromontowska — ochłodziło się nieco, i miléj nam zapewne na świeżem będzie powietrzu.

Ja także radzę po ogrodzie przechadzkę — dodał wujaszek, biorąc Janinę pod rękę.

Towarzystwo chętnie za tem poszło wezwaniém.

Gdy następnie na werandę wrócili, gdzie służba podwieczorek zastawiła, zwiększyły zebranie pani Żreńska i matka proboszcza, zaproszone przez młodą panią domu.

Pan Władysław, rozumie się, że częstym odtąd w Jodłowcu był gościem. Przybywał w każdą niedzielę i święto — a niekiedy i w dzień powszedni, konno, na godzinkę wieczorem.

Pani Siewońska postanowiła, że ślub córki miał odbyć się dopiero w styczniu albo lutym, składając to opóźnienie na wykończenie wyprawy, i jeszcze inne jakieś podając przyczyny. Ale, było to raczéj jedynie przez wzgląd na Janinę, by jéj na czas smutnéj jesieni nie pozbawiać towarzystwa Julki. Widziała ją spokojną zupełnie na pozór, chwilami i wesołą, lecz poznawała wszelako dobrze, że ukochana wychowanka smutek miała w duszy. Gdy przypadkiem była mowa o przyszłéj zimie i karnawale, Janina zwykle powtarzała: że nie wyjedzie nigdzie, że karnawałować nie myśli, że ją żadna nie nęci zabawa, co otaczające ją, przywiązane osoby, niepokoiło i martwiło zarazem.

Z listów nadchodzących z Zajezierza, wiadomem tylko było, że pan Jerzy jest w Marienbad'zie, i że zdrowie jego polepszyło się znacznie. Zresztą innych wiadomości nie miano.

— Och, ten pan Jerzy! wzdychając, powtarzała pani Gromontowska nieraz, do męża i do pani Siewońskiéj. Znać naprawdę wszystko pomiędzy niemi zerwane zostało. Wielka to szkoda... I to całą przyszłość Janiny zwichnęło.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie